NUMER 18. DNIA 4-go MAJA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

W wielką rocznicę.

Konstytucję majową nazwano testamentem konającej i w gruz się sypiącej Rzeczypospolitej. Czy zupełnie słusznie? Pomimo olbrzymiego jej znaczenia, testamentem na odległą przyszłość, zrębem dla wielkiej społecznej, postępowej pracy być nie mogła, — bo najważniejszą sprawę emancypacji ludowej, — odkucia chłopa od ziemi szlacheckiej i wyciągnienia go na wyżynę godności ludzkiej, — zbyła dyplomatycznem milczeniem, otwierając w półsłowach mgliste i niejasne widnokręgi... Pańszczyzna, robocizna — stara feudalna formuła ekonomicznej regulacji kieszeni kast wyłącznych, — zatrzymały dawny walor, — jedna jedyna inowacja, teoretycznie ładna, praktycznie niewykonalna, stanowiła okrasę ustawy, którą w zapale i przesadzie nazwano wielką kartą wolności... Chłop mógł za spłatą pieniężną odczepić się od roli dziedzica, — do której był z łaski ustaw przywiązany, mógł się wykupić i wolność swej duszy, wolność swego ciała, — ponieść w szeroki świat... Takie wykupno — którego wysokość od fantazji pańskiej zależała, było złudą przy ówczesnem zupełnem ubóstwie włościaństwa i w bardzo rzadkich wypadkach mogło się w czyn oblec. Zresztą pozostały stare zasady, oparte o przywilej stanowy i historyczne zabobony, — które przyczyniły się do sfermentowania Rzeczypospolitej. A jednak konstytucja majowa jest mimo wielu cieniów, mimo chwiejności, połowiczności, i liczenia się z wszystkiemi i na wszystkie strony, dziełem wielkiej doniosłości i jasnym prawdziwie promieniem na horyzoncie państwa, — na którego krańcach zarysowuje się już Targowica, — trójca złożona z Branickiego, Kossakowskiego, Potockiego, — plama, na gasnącem słońcu życia politycznego narodu.

Była ona dziełem na wskróś ewolucyjnem, — nie rewolucyjnem, powstała w podziemiu, — w umysłach kilkudziesięciu ludzi, którzy ją wypielęgnowali, jak roślinę, mającą odżywczym sokiem wzmocnić rozkładającą się ojczyznę... Twórcy majowej księgi ustaw bali się, że w razie zbytniego radykalizmu i żywiołowego zerwania z tradycjami historji, — z podeptaniem nagłem tej kultury, która była szlacheckim rozumem i dogmatem, — zerwie się burza ogromna i zamiast akcji naprawy i reformy państwa, nastąpi reakcja — z powtórzeniem się haseł konserwatywnych XVII. stulecia, gdy mądrała w rodzaju Maksymiljana Fredry wynajdywał wszystkie formuły, aby wykazać, że utrzymanie *status quo* jest jedyną polityczną racją... Rachuby, trwogi nie zawiodły, jak niestety miała wykazać niedaleka przyszłość: Targowica, schronisko i paladjum wielkiego stronnictwa, z którem, jak zauważył Kalinka, trzy czwarte neutralnej szlachty milcząco sympatyzo-

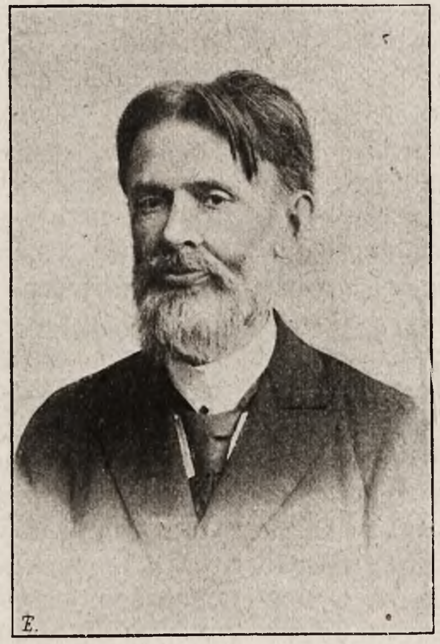
wało... Konstytucja majowa, — to bądź co bądź ruch naprzód, ruch nie żywiołowy i gwałtowny, jak we Francji, tylko owoc politycznych i liczących się z różnemi okolicznościami stosunków, — przesunięcie się ku nowocześniejszym prądom czasu, objawienie woli i chęci, — że inaczej być musi, niż było. Otwarto sobie też drogę dla dalszych zmian i reform w pogodniejszych czasach przez postanowienie, — że za 25 lat ma nastąpić rewizja konstytucji... Tak więc budowę uważano za fundament, — a ściany i pokrycie miano dopiero wyciągnąć. Z tego stanowiska rozważając rzecz, serce się ściska, że i tę garść dobrych intencji, tę ekspjację narodową, zmarnował los okrutny, zabijając politycznie społeczeństwo, gdy się odrodzić chciało... Konstytucja — nie miała czasu dojrzeć, urzeczywistnić się, stać się ciałem i krwią narodową. Stała się przynajmniej szlachetną tradycją, — orzeźwiającym powiewem nad zgliszczami.

Adam Bełcikowski.

(Sylwetka jubileuszowa).

Adam Bełcikowski zaczynał karjerę pisarską przed czterdziestu laty jako poeta. Przejścia psychiczno-erotyczne wycisnęły na jego duszy znamię smutku, melancholji i skupiły się w djalogu udramatyzowanym „Serafina“ w bolesne katusze... Miękkie, wrażliwe serce ukoiło się pozornie, poszło w służbę wielkich etycznych nastrojów, — odżywiało się jednak echem dawnego, nieprzebrzmiałego żalu na każdym stopniu artystycznej działalności... Męka zwątpienia za doznane zawody — pamięć niezastygła o wielkiem święcie życiowego maju, — gdy ukochana w promienistych kształtach była Beatricą przyszłości i marzeń gorących młodzieńca, — wcisnęły się w ulubiony rodzaj twórczości Bełcikowskiego: dramat, zostawiając w nim jako główny i panujący motyw, grę namiętności, poszarpanych uczuć i miłosnych, na różne warjanty rozsnutych, porywów... Zanim Bełcikowski wynurzył się i wypowiedział w stylowo zakrojonych tragedjach, zaorał niwę społecznej komedji trzyaktówką „Protegujący i protegowani“, jaskrawą, żywą satyrą na polowanie za urzędniczymi karjerami i na zdobywanie złotych kołnierzy przez nasłuchiwanie, zkąd wiatr wieje... Z obyczajowej przeniół się do komedji historycznej, idąc w ślad „Wąsów i peruki“ Korzeniowskiego“, — tudzież „Grochowego wieńca“, Małeckiego. Powstał „Król Don Juan“, — rodzajowy obraz z dworu Augusta II i „Dwaj Radziwiłłowie“, rzecz posiadająca świetnie narysowaną figurę księcia Albrechta, najlepszego może polskiego scenicznego Tartuffa... i rzeczywiście dobry, szczery sytuacyjny humor. Potem nastąpił cały szereg dramatów historycznych, — odrzynających się wyraźnie i dobitnie od kierunków i dróg, którymi stąpał Szujski... W repertuarze znakomitego dziejopisa uczony zawsze bierze górę nad poetą, wierność kronikarska nad wyobraźnią i to, co miało być siłą i polotem, spada na ziemię, obciążone ołowiem umiejętnego balastu... Bełcikowski natomiast nie krępuje się zbytnio wiernością wydarzeń, archeologją i tłem, — bo jego sztuki w głównem założeniu nie mają za przedmiot starć politycznych i potężnych wstrząśnień społecznych, tylko epizody erotyczne, coś w rodzaju cierpień, zsymbolizowanych w werońskiej elegji Romea i Julji. Bizantyńska opowieść o mękach „Focjusza“, włoska o „Franczesce di Rimini“, — czesko-niemiecka o Botensteinie z „Przysięgi“, — zostałaby identyczną i dobrze dopasowaną do ram polskich, gdyby wykreślić egzotyczne informacje i pozmieniać nazwiska osób działających. Jedynie „Mieczysław II“ ma rzeczy-

wisty i w rzeczywistości swej wyborny fundament historyczny, który się już rozpęka nieco w „Bolesławie Śmiałym". Tematu do „Adama Tarły" zaczerpnął Bełcikowski z pamiętników historycznych L. Huberta, bez uwzględnienia i wciągnięcia w akcję wydarzeń z szerszego terenu rzeczypospolitej. „Kmita i Bonarówna" wyłonił się ze znanej legendy, przywiązanej do skał zabierzowskich, — wreszcie punktem zaczepienia dla „Przekupki warszawskiej" była monografja Wójcickiego o cmentarzu powązkowskim. Z losami przekupki Magdy połączył poeta tragiczne dzieje Michała księcia Poniatowskiego, — użyte za fabułę w nowelli Dominika Magnuszewskiego: „Posiedzenie u Bacciarellego", — która się sama prosiła o uscenizowanie. W fantastycznych, w zmierzch historyczny sięgających sztukach: „U kolebki narodu" i w „Koronie Lechów" zachowano barwę podań ludowych i kronikarskich tradycyj, — a pajęczyna taka, jak podany przez Kadłubka wiersz Vanda terrae, Vanda mari, służą za zrąb do snucia tkanki wyobraźni. Nie patyna naukowa, tylko krwawe szamotanie się serca, namiętności wybuchowe i żywiołowe, — jak te wzruszające w prześlicznej legendzie Dantego o Francesce di Rimini, – są nicią Arjadny w repertuarze Bełcikowskiego. Ze stanowiska estetyki i szczerego artyzmu, — niepodobna żadnego ukuć zarzutu z powodu podobnego pojmowania rzeczy. Książki najznakomitszych nawet mistrzów dziejopisarstwa rozpadają się w niemocy w obec silnej poetyckiej inwencji. Wallenstein i Marja Stuart Szyllerowskie odbiegają w rzeczywistości od modelu historycznego, — mimo to książę Frydlandu zostaje dla ogółu bożyszczem z trylogji, — a królowa szkocka nieszczęsną, opowitą w aureolę męczeństwa ofiarą angielskiej Elżbiety. I cóż z tem począć !? Hunjady, Adam Tarło, Paolo w „Franczesce di Rimini," wreszcie Botenstein w „Przysiędze", — to jeden człowiek w trzech odmianach, jedna pieśń w trzech warjantach. Wszyscy gotowi zapomnieć o najważniejszych misjach, o niebie i ziemi, — byle zdobyć, żyć i ginąć z ubóstwianą kobietą: istni rozgorączkowani południowcy, którym nie dostaje w dramatycznem obrobieniu bardziej skoncentrowanych, Szekspirowskich zwrotów, — dla uplastycznienia kipiącego w nich wulkanu. Na strunach serca wygrane tony i hymny, — przedzierzgnęły się w ,,Mieczysławie II" w bohaterski, spiżowy dźwięk, — w ucieleśnione widma z piastowskich cmentarzysk. Historja występuje tu w pełnym rynsztunku, ogromnie wierna i w wierności swej groźna. Jak Lir silny, włada z razu Mieczysław państwem swojem, potem orężne niepowodzenia wytrącają mu broń z ręki, zostaje królewskim żebrakiem, więźniem czeskiego Brzetysława, — w końcu gnie się, zapiera powierzchownie własnych przekonań, idzie do Kanossy — Merseburga złożyć hołd cesarzowi i ze złamaną duszą, wraca znowu monarszy Lir na tron, cień dawnej władzy i strzęp dawnej woli. Ale w strętwieniu umysłowem, w abdykacji pozornej i w udanym spokoju, — huczą szalone burze, wdzierają się do mózgu, zaćmiewają rozum i porywają nędzarzowi życie... Na pierwszy rzut oka dwoi się charakter Mieczysława: raz występuje dumny władca, kuszący się o Bolesławowe laury, drugi raz zdeptany ślimak w ziemskiej powłoce. W istocie posiada ślimak namiętności i żądze wielkie króla z doby szczęścia i powodzeń, — stłumione rozpaczną niemocą czynu... Z ogromną wirtuozją przeprowadził poeta tę bolesną wiwisekcją i stworzył śliczną, spiżową postać, — prawdziwe sceniczne tour de force. — Dopiero ,,Mieczysław II" i ,,Bolesław Śmiały" pasowali Bełcikowskiego na dramaturga sporego talentu. Bo i ta tragedja, chociaż nie opiera się na szeroko rozciągniętych historycznych motywach, rozwija z niepowszednią



Adam Bełcikowski.

grozą jeden temat: skutki klątwy biskupiej, oraz błyskawicznego wzrośnięcia władzy kościelnej nad świecką w epoce Grzegorza VII i powstania teorji o mieczu duchowym w rękach papieża i świeckim w rękach cesarza, z przyznaniem naturalnie pierwszemu większej i doskonalszej powagi.

Dramat taki, jaki jest, niedostrojony do nowszych i rzeczywistych badań, — rozwija się jednak wybornie, obfituje w liczne i doskonale sharmonizowane efekta i dopiero w piątym akcie, wykoleja się ku melodramatowi, przypominając operowe zakończenie Tannhäusera... Koroną twórczości autora „Mieczysława II.“ jest „Focjusz“, — sztuka bizantyńska z czasów Justyniana i Teodory. Bohater jej, ma zakrój starożytnego Orestesa i nowszego Hamleta, — nie jako uosobienie chwiejności i przesadzonej, nerwowej analizy, — ale jako filozof głęboko w tajniki istnienia wnikający, posiadający swój system życiowy i ani na cal od niego nie odstępujący.

On właśnie marzy i mówi to, co Bełcikowski o sobie powiedział: „prawdo! dotrzymam tobie wiary święcie!“... Etyka jego czysta, jasna, niby słońce w pogodne, uśmiechnięte południe: nikczemność winno się zdeptać najcięższemi bodaj ofiarami, byle cnocie i sprawiedliwości zapewnić tryumf. Przed ojcem, Belizarjuszem, roztwiera Focjusz wspaniałą duszę, chcąc go skłonić do przyjęcia italskiego tronu, — bynajmniej nie dla uroku ziemskiej władzy, — ale z czysto platonicznych, idealnych i ideowych powodów: „Tam na tej ziemi, którą odświeżyły dzikie, lecz czerstwe barbarzyńców ludy, możesz nowego świata zostać twórcą, w którym panować będzie s p r a w i e d l i w o ś ć, c n o t a i d z i e l n o ś ć!“ Niestety Opatrzność ciężką wyznaczyła rolę Focjuszowi: zdemaskowanie własnej matki Antoniny, która z gachem Teodozym zdradza Belizarjusza, wybrane naczynie czynów marzyciela do zrealizowania królestwa Bożego na tym padole płaczu. Szybko biegnąca akcja przechodzi w niesłychanie mocne napięcie, gdy Focjusz zmusza Teodozego do zamordowania kochanki. Na gruzach i grobach ludzkich, na dymiących się zgliszczach pobojowisk, zostaje Focjusz, surowy Katon i egzekutor praw moralności, szukając w śmierci drogi do wyzwolenia się z męczarni bytu. I ginie z apostrofą na ustach: „O, Matko moja, gdy śmierć przejednała duszę twą z Bogiem, gdy ją oczyściła z plam ułomności ziemskiej, niechaj złożę na twoich nogach zimny pocałunek czci i miłości synowskiej“. Odkupienie przez śmierć i odczyszczenie duszy przez złożenie jej w ręce Boga, — oto jedyna ekspjacja za grzechy zdrady małżeńskiej i sprzeniewierzenie się przysiędze u stóp ołtarzy. Może być, że „Focjusz“ gubi się chwilami w retoryce, chwilami grzeszy mdłą charakterystyką figur, — jak nie bez pewnej słuszności zauważył Kotarbiński — (Bełcikowski jako dramaturg, Bibl. Warszaw. T. 2. r. 1898), wszakże całość jest znakomicie zbudowaną, ma silne kolizje, podniesione do bardzo wysokiej i artystycznie śmiałej potencji.

Z wyżyn wielkich pomysłów schodził Bełcikowski niekiedy na równiny szare i nie cofał się przed pisaniem rzeczy użyteczności publicznej, na których znamię widoczne wycisnęła popularność „Kościuszki pod Racławicami“, Anczyca. Temu zawdzięcza genezę „Sobieski pod Wiedniem“ i „Przekupka Warszawska“, — ostatnia o tyle osobliwa, że obok nastroju sztuki niedzielnej, ma znakomity, w szerokim stylu trzymany akt trzeci, który jako fragment, jest jedną z najświetniejszych scen naszej literatury teatralnej. Gdyby wszystkie cztery akty na równą wzniosły się wyżynę, — mielibyśmy nareszcie po „Horsztyńskim“, prawdziwy i jedyny w swoim rodzaju dramat narodowy.

Bełcikowski jest człowiekiem zasłużonym i wybitnym nietylko na polu dramatycznej twórczości. Konkurs ogłoszony na posadę profesora warszawskiej szkoły głównej w 1864 r. z obowiązkiem napisania tematu o Reju z Nagłowic, — pchnął go i wprzągł do orki krytyki literackiej. On jedyny wprawdzie zdobył uznanie wśród jurorów, — wiek jednak młodzieńca, który zaledwie opuścił uniwersytecką ławę, — skłonił decydujące czynniki do powierzenia katedry staremu Aleksandrowi Tyszyńskiemu i nominowania konkursowego laureata docentem, z ekspektatywą na profesurę w niedalekiej przyszłości. W prelekcji wstępnej, określił Bełcikowski swe stanowisko zasadnicze bardzo rozlegle, cywilizacyjnie, podając następującą definicję literatury: „ona obejmuje w sobie całą m y ś l narodu, jak się ta w ciągu wieków rozwija“... Młody profesor, próbujący dopiero lotu, nie kusił się o oryginalną syntezę, przystąpił natomiast do monograficznego opracowania utworów wybitnych postaci. Tak powstały sumienne i na tok ówczesnych badań doskonałe szkice o Twardowskim, Andrzeju Morstinie, Wacławie Potockim, Naruszewiczu, Karpińskim, Zabłockim itd., —

studja skreślone może mało porywającą i nerwową formą, ale za to polszczyzną piękną i potoczystą.

W znacznie późniejszej monografji o ks. Stanisławie Grochowskim, uwzględnił Bełcikowski nadzwyczaj obszernie stosunki wewnętrze i polityczne z czasów pierwszego na tronie polskim Wazy, tak, że tło historyczne tej książki, może śmiało uchodzić za pyszne malowidło epoki. O tych studjach, wydał Chmielowski sąd, — który w całej rozciągłości powtórzyć należy: ,,Zerwawszy z feljetonową lekkością i lekkomyślnością, umiał jednak stanowczo połączyć gruntowność z wykładem popularnym, przejrzystym, a nieraz pełnym niewyszukanego wdzięku. — I to właśnie jest jego niepospolitą w literaturze zasługą, że w szeregu przystępnych i zajmująco pisanych studjów, przyczynił się do ustalenia sądu o wielu naszych pisarzach i rzucił jasne światło na wiele ciekawych zagadnień“.

Adam Bełcikowski, urodził się w grudniu 1839 r. w Krakowie. Po ukończeniu gimnazjum Ś-tej Anny i wydziału filozoficznego w Krakowie, otrzymał docenturę w Szkole Głównej Warszawskiej, — a po jej upadku i przeobrażeniu w instytucję rosyjską, wrócił do rodzinnego miasta i w 1870 roku habilitował się na uniwersytecie do literatury polskiej. Równocześnie prawie uzyskał *veniam legendi*, Stanisław hr. Tarnowski, niebawem nominowany profesorem nadzwyczajnym, — skutkiem czego nie miał Bełcikowski w dalszej nawet przyszłości widoków na awans. Zrezygnowawszy z godności docenta, sprawował jakiś czas obowiązki nauczycielskie w gimnazjum Franciszka Józefa we Lwowie, — poczem uzyskał posadę amanuenta w bibl. Jagiellońskiej, na której do dziś dnia pozostaje. Dramaty jego i studja literackie, zdobywały na konkursach pierwsze nagrody, lub zaszczytne odznaczenia. W tej chwili, obchodzi zasłużony pisarz 40-letni jubileusz swej działalności.

Ernest Łuniński.

2)

Rosyjska prasa rewolucyjna.

Po za granicami Rosji, wychodzą i inne pisma, w których również zarysowują się dwa wzmiankowane wyżej kierunki.

Do pism socjalno-demokratycznych, należą: „Raboczeje Dieło“, „Iskra“ i „Zoria“.

„Raboczeje Dieło“ (Sprawa Robotnicza), do niedawna było organem socjalno-demokratycznego centrum, zajmowało więc stanowisko pośrednie między kierunkiem umiarkowanym, reprezentowanym przez „Raboczoju Myśl“, a kierunkiem skrajnym, reprezentowanym przez grupę Plechanowa i jego politycznych przyjaciół. Działo się to przed dwoma laty, kiedy pewna część socjalnych demokratów rosyjskich nie uznawała potrzeby walki politycznej, a Plechanow wysuwał ją na plan pierwszy. Wypadki zeszłoroczne zmieniły stanowisko „Raboczoho Dieła“. Po wystrzale Karpowicza zaczęło ono sympatyzować z ostrzejszemi formami walki, nie zalecając ich jednak, jako stałego systemu. „Raboczeje Dieło“, jest pismem pełnem informacji z Rosji, zawiera obszerne sprawozdania z ruchu socjalistycznego, po za jej

granicami i umieszczane są też artykuły większe, poświęcone sprawom faktycznym i programowym. Na czele redakcji stoi Kryszewskij. W kwestjach faktycznych usiłuje ono zachować pewną równowagę między walką ekonomiczną, a polityczną, obawiając się, aby druga nie usunęła całkowicie pierwszej. Pod względem literacko-naukowym, „Raboczeje Dieło“ nie wyróżnia się niczem od innych pism.

Odmienny charakter ma „Wiestnik russkoj rewolucii“. Jest on organem zagranicznym socjalistów - rewolucjonistów. Kierunkiem przypomina dawny „Wiestnik Narodnoj Woli“; w zagadnieniach programowych uznaje obok masowych form ruchu rewolucyjnego i teror, do którego przywiązuje wielką wagę. W kwestji agrarnej pismo to zajmuje odmienne od pism socjalno-demokratycznych stanowisko. Jakkolwiek niewyraźnie, zdaje się jednak przypuszczać możliwość łatwego przekształcenia istniejących stosunków ekonomicznych na wsi w Rosji na inne socjalistyczne, albo zbliżone do nich. „Wiestnik ruskoj rewolucii“ usiłuje zawsze podkreślać solidarność interesów przeciętnych włościan i robotników fabrycznych. Wielką wagę przypisuje on rewolucyjnej inteligencji. Pismo to prowadzone jest umiejętnie z wielką znajomością stosunków rosyjskich. Głównym redaktorem jest Tarasow, były współpracownik „Wiestnika Narodnoj Woli“. „Nakanunie“ (W przededniu) pismo niewielkie wychodzi od lat kilku co rok. Nie jest ono organem żadnej partji. W poglądach swoich zbliża się do programu socjalistów - rewolucjonistów, zamieszcza ciekawe korespondencje Rosji. Redaktorem jego jest Sierebriakow, były oficer marynarki rosyjskiej, emigrant.

„Iskra“ jest pismem poświęconem wyłącznie sprawom bieżącym. Bardzo umiejętnie redagowana zawiera mnóstwo ciekawych faktów z życia rosyjskiego zawsze oświetlanych konsekwentnie ze stanowiska socjalno-demokratycznego. Wychodziła dawniej raz na miesiąc, obecnie zaś dwa; w tej chwili jest już około 20 numerów. „Zaria“, pismo naukowe, najwięcej miejsca poświęca rozbiorowi spornych zagadnień z dziedziny marksizmu. Głównym jej kierownikiem jest Plechanow. Sam też wiele pisze. Bardzo ciekawymi są jego artykuły przeciwko Bernsteinowi, oraz Struwemu i innym ekonomistom rosyjskim, którzy odstąpili od prawowitego marksizmu. Plechanow posiada wielki talent i zdolności adwokackie w uzasadnieniu swych poglądów; nie zawsze jednak dochodzi do samej głębi w rozpatrywaniu zagadnień, będących przedmiotem jego studjów. „Zaria“ jest najciekawszem i najlepiej prowadzonem naukowem pismem socjalistycznem w ogóle. Zarówno „Iskra“, jak i „Zaria“ stoją na gruncie prawowitego marksizmu. Walkę polityczną wysuwają one na plan pierwszy, stoją zawsze na gruncie klasowym, rozpatrując wszystkie sprawy z punktu widzenia interesów proletarjatu. Stanowisko klasowe nie przeszkadza jednak tym organom rozumieć doniosłości wspólnej walki socjalistów i żywiołów liberalnych z samowładztwem w Rosji. Jako środek walki z rządem carskim pomienione pisma zalecają przedewszystkiem demonstracje polityczne i występują przeciwko terorowi. W jaki sposób wolność polityczna ma być zdobytą w Rosji tylko, kierownicy „Iskry“ i „Zarii“ jednakże nie mówią. Na razie wskazują tylko na demonstracje. Pośrednie stanowisko między prasą socjalno-demokratyczną i socjalno-rewolucyjną zajmuje pismo „Swoboda“ (Wolność). Propaguje ono idee socjalno-demokratyczne; w poglądach na taktykę różni się od swych współwyznawców i zaleca teror, nie tyle jednak, jako środek mogący zmusić rząd rosyjski do ustępstw, lecz jako czynnik zaostrzający walkę z caratem, dolewający do niej ognia.

Z tego krótkiego przeglądu rosyjskiej prasy rewolucyjnej widać, że odźwierciadla ona w sobie liczne kierunki myśli opozycyjnej w społeczeństwie rosyjskiem. Poza tą prasą istnieje jeszcze szereg wydawnictw perjodycznych i nieperjodycznych, popularno-agitacyjnych, przeznaczonych dla robotników, chłopów i inteligencji.

Zajmującemi są wydawnictwa „Ligi agrarnej“ dla ludu wiejskiego.

Rewolucjoniści rosyjscy marzą o stworzeniu centralnego organu, w którym wszystkie, kierunki socjalistyczne łączyłyby się harmonijnie. Organ taki nie prędko jednak powstanie, gdyż między poszczególnemi frakcjami rewolucyjnemi w Rosji są jeszcze zbyt wielkie różnice.

W rosyjskim ruchu socjalistycznym prawdopodobnie zawsze ujawniać się będą dwa zasadnicze kierunki: socjalistyczno-rewolucyjny, lepiej

przystosowany do stosunków rosyjskich i socjalno-demokratycznych. Każdy z tych kierunków ma swe przymioty i niedostatki, dopełniają się jednak wzajemnie.

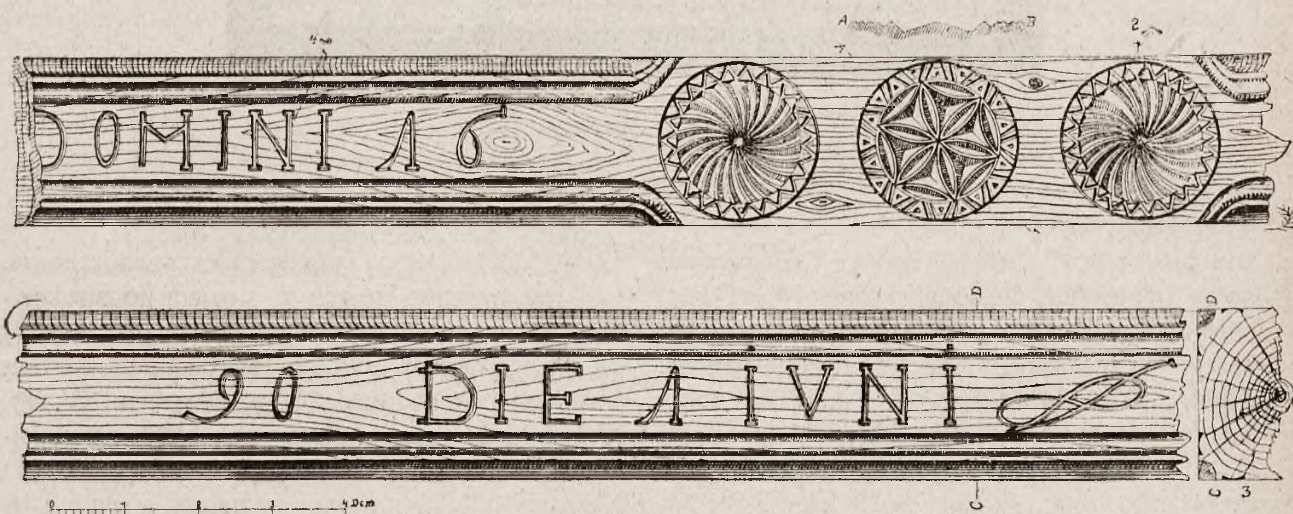
Przed kilku dniami wyszedł Nr. 1. nowego pisma socjalno-demokratycznego pod tytułem „Żizń“ (Życie). Pismo to wychodzi w formie książki o kilkuset stronicach. Zawiera ono artykuły naukowe i bieżące. Programowo nie różni się od pism innych.

L.

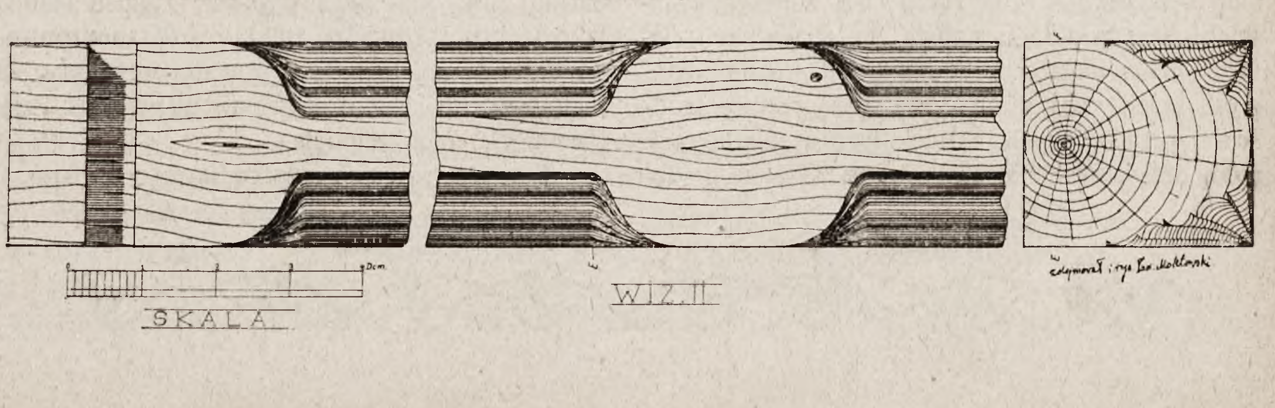
Jeszcze „Zakopane we Lwowie“.

(Omówił KAZIMIERZ MOKŁOWSKI.)

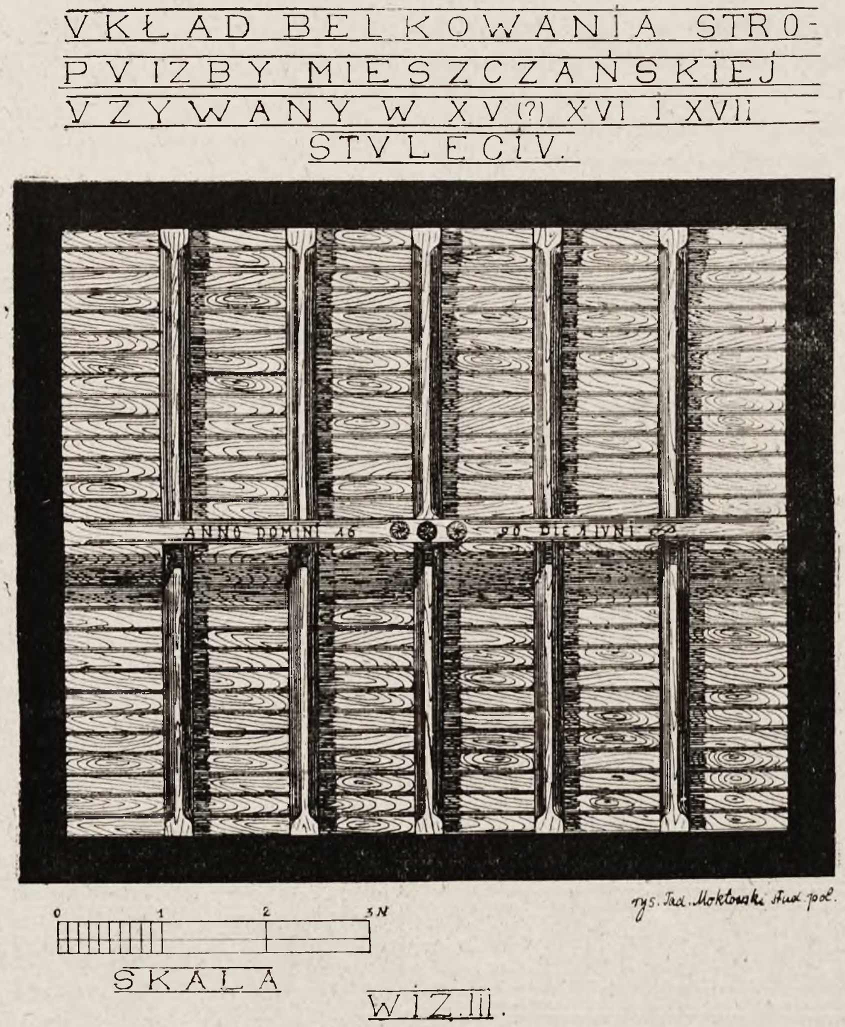
Niedawno został pomieszczony w niniejszem piśmie jeden i drugi artykuł podpisanego autora, opatrzony rysunkami, gdzie starano się dowieść, że pomiędzy sztuką Podhala a reszty Polski istniał niegdyś, a po części do dziś istnieje jak najściślejszy związek. Odkrycia stwierdzają wciąż słuszność powyższego twierdzenia. Po wrotach o kołkowaniu zdobniczem na Łyczakowie, po sosrębach z ulicy Grodzickich obecnie w muzeum, miejskiem dajemy niniejszem rysunki sosrębu i dźwigarów drewnianych profilowanych, znalezionych przy rozbiorze starego



WIZ. I.



WIZ. II.



domu przy placu dominikańskim. Ornamentyka sosrębu odpowiada doskonale ornamentyce sosrębów lwowskich, zakopiańskich i gnieźnieńskich, przez p. Gosienieckiego z Gniezna zrysowanych. Zabytki z placu dominikańskiego dają nam obraz stropu izbicy mieszczańskiej lwowskiej z wieku XVII-go, XVI-go i zdaje się XV-go. Wszystkimi szczegółami układu i składu zespala się on jak najdokładniej z izbami dworów staroszlacheckich i do dziś jeszcze istniejących chat starowłościańskich. Zasada układu polega na rozłożeniu ciężaru stropu na szereg niewiele od siebie odległych belek, często w całości, bez przerwy środkowej profilowanych. Środek tego systemu podpiera duży dźwigar drewniany, szczególnie ozdobiony, który obok na rysunkach jest uwidoczniony. I to jest właściwy sosręb w swojem konstrukcyjnem działaniu. Mieszczanin lwowski nie wstydził się tej drewnianej powały tak ozdobnej, a tak znamiennej dla budownictwa polskiego. w XV. (?), XVI. i XVII. stuleciu. Data roku 1690, na niniejszym sosrębie wypisana, świadczy, że jeszcze u końca XVII-go stulecia, kochano drewniane powały. Dopiero z nadejściem wieku XVIII-go, który, za modą baroku idąc, wewnątrz wyprawę z gipsu i stiuku jako ozdobę wprowadził, znikła resztka zamiłowania do drzewa; najpiękniejsze powały drewniane zaszalowywano i zagipsowywano, a po dziś dzień i pamięć o nich zaginęła.

I to jest również cząstką starego Lwowa.

Kazimierz Mokłowski.

Sprawa Dołęgi.

(Powieść Józefa Weyssenhoffa.)

Sprawa Dołęgi“ miała takiego znakomitego poprzednika w ,,Podfilipskim“, poprzedniej powieści p. Weyssenhoffa, że rekomendacji nie potrzebuje. Z zestawienia okazuje się, że ,,Podfilipski“ to nie osamotniony twór, że p. Weyssenhoff to nie dyletant, z pod którego ręki przy sprzyjających okolicznościach wyszło raz jeden dzieło skończone i wartościowe, lecz artysta, obdarzony bogato zmysłem spostrzegawczym, zdolnością podpatrywania ciekawych i charakterystycznych momentów życia i dobrze opanowujący swą myśl i materjał psychologiczny.

Jak powieść poprzednia, taksamo i ,,Sprawa Dołęgi“ osnutą jest na tle stosunków arystokracji rodowej (w części pieniężnej), która to kasta zdaje się być właściwym terenem twórczości p. Weyssenhoffa: zna ją dokładnie i w niej czuje się tak swobodnym, że bodaj swobodniejszym czuć się nie można.

Akcja snuje się około dwóch wykładników duszy inżyniera, pozytywnego idealisty i pesymistycznego optymisty, Dołęgi: po pierwsze, około miłości do Halszki księżniczki zbaraskiej i po drugie — około społecznych aspiracyj Dołęgi (w szczególności około przerznięcia kraju siecią dróg bitych, przez co bohater powieści chce podnieść kraj ekonomicznie, a pośrednio i moralnie). Z tych dwóch wychodząc punktów, myśl autora, jakby nić, oprzędza cały szereg postaci, wiąże je ze sobą, lecz głównie przędzie tło — obraz ogólny sfery, który w rzeczywistości jest tutaj najważniejszym. Powieść ta nie maluje właściwie typów, wyraźnych i ostro zarysowanych charakterów; nieześrodkowuje się w jednej postaci, jak to było w poprzednio napisanym ,,Podfilipskim“; nawet nie odzwierciadla silnych, niezwykłych stanów psychicznych. Te ostatnie nie wyróżniają się tutaj niczem szczególnem, chociaż bynajmniej nie są banalne np. stan Dołęgi w czasie choroby po odebraniu listu od Halszki; jego ostatnia rozmowa z księżniczką, gdy pod wpływem silnego uczucia obowiązku społecznego — wyrzeka się osobistego szczęścia t. j. Halszki (zresztą w tej scenie dźwięczy nuta nieco fałszywa) itp. Stany te nie odznaczają się wcale niezwykłością, prędzej są pospolite, lecz, jak zaznaczyliśmy, pojęte nie banalnie. Wszystkie postacie są uchwycone dobrze, prawdziwe w swojej psychologji, ale przedstawione sylwetkowo: naszkicowane kilkoma znamiennymi rysami i tyle. Z tego, co o osobach mówi autor, co same mówią o sobie nie można zdać sobie sprawy, jakby one postąpiły w danym wypadku; nawet sam Dołęga i Halszka są traktowani tylko w ogólnych zarysach. Nie mniej te sylwetki, stojące na dalszym lub bliższym planie, są znakomite, jako takie, a na ogólnem tle występują z niezwykłą plastyką, pomimo iż są opisane częstokroć w kilku słowach. Daje się to stwierdzić na postaci pierwszej lepszej: od chłopa, chyłkiem przemykającego się przed ustawionymi na stanowiskach myśliwcami, który ,,poganiał, uchylał czapki, udawał pokorę i jechał dalej“, aż do księżnej Hortensji, matki Halszki, romantycznej arystokratki, „przemawiającej do męża w stylu: „wtargnąłeś do mnie, jak rzeczywistość“; aż do Andrzeja, brata Halszki — człowieka dobrego, lecz bezwolnego, który wbrew twierdzeniu, że życie nie jest zabawą, rozwija odpowiednią, bo pobłażliwą dla siebie filozofję, że życie nie jest tak śpiczastem, jak stawiane przez ludzi kwestje, że nie można żyć samą myślą logiczną, lecz trzeba poddać się czasami przelotnym wrażeniom i t. p. (zaznaczę że owo ,,czasami“ w praktyce zamienia się na ,,zawsze“).

Istotna zaś wartość ,,Sprawy Dołęgi“ polega na całokształcie uczuć, wyobrażeń, pragnień arystokracji rodowej, jako sfery, i w tym względzie powieść ta wyróżnia się wybitnie od ogółu bieżącej naszej beletrystyki. Arystokracja przedstawioną jest tutaj prawdziwie w swoim codziennym, realnym wyglądzie.

Chociaż p. Weyssenhoff rzuca od czasu do czasu optymistyczne myśli o arystokracji, np. że klasy starsze i bogatsze muszą być otaczane poszanowaniem; chociaż kończy swą powieść opty-

mistyczną wiarą w odrodzenie tej klasy (rozdział ostatni, gdzie Andrzej Zbaraski przy łożu burgrabiego rozmyśla o zadaniach swego rodu i przeobraża się nagle w dzielnego obywatela kraju), to jednak trudno mu robić z tego zarzut, bo czyni to ostatecznie tak ładnie, że każe zapominać na razie o psychologicznej i faktycznej prawdzie. Zresztą, jak zaznaczyłem, najważniejszym jest obraz ogólny arystokracji — scharakteryzowany w słowach Dołęgi: „są oni (arystokracja) jak wielka stojąca woda.... popchnij ją — rozleje się, — chcesz ją zapalić — mokra, użyć do obracania młynów? nie płynie.... A zalewa jednak ogromną przestrzeń kraju i gdzie nie pleśnieje, tam zakrywa bezużytecznie rodzajne pola“.

Tę myśl rozsnuwa autor przez całą powieść; wyraża ją w charakterystykach poszczególnych postaci, jak np. skąpca hr. Szafrańca, który dla pomnożenia swoich dochodów znosi w swoich majątkach dawniej fundowane zakłady dobroczynne, i innych; wyraża swą myśl w całych epizodach, jak przyjęcie dygnitarza Zellera u Zbaraskich, jak w opisie klubu „Sport“ etc.

A obraz daje różnostronny — wyjaśnia stosunek arystokracji do mieszczaństwa, reprezentowanego przez przemysłowca Hellego, do całego społeczeństwa, do rządów zaborczych (ugoda), pracy społecznej i t. d.

Oprócz tego po całej książce rozsypał autor mnóstwo ciekawych poglądów i charakterystyk, drugorzędnych ustępów (rozmowa łowczego Kordysza z burgrabią Marsowiczem, gdzie maluje autor skłonność tych ludzi do zmiany polskich napisów przydrożnych na rosyjskie — byle nie psuć polityki możnych) — co wzięte razem z wyrobionym i bogatym językiem — stawia powieść p. Weyssenhoffa w rzędzie lepszych i godnych wyboru z pomiędzy mnóstwa i mnóstwa innych. „Sprawa Dołęgi“ to pyszny obraz, podchwycony z życia z oddali — i dlatego pojedynczych ludzi widać tam mało — ogólny ruch i życie wszędzie.

B. D.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

— Ha! — szepnął stłumionym głosem — skoro mama tak chce.

— Tak być musi.

Patrzała na syna z taką boleścią, jakby równie, jak on, ulegała sile fatalnej, niezależnej od woli.

— A teraz — wyrzekła wreszcie — żegnam cię i niech Bóg cię strzeże od złego.

Nie wyciągnęła do niego ręki, ale on się pochylił i przycisnął do niej usta. Wówczas, jakby pchnięta nieprzepartą siłą, przytuliła jego głowę do piersi, powtarzając szybko:

— Niech cię Bóg strzeże, niech cię Bóg strzeże!

Chwila ta trwała krótko.

— Idź już, idź! — dodała — powiedziałam ci wszystko.

Łzy ją dusiły, a nie chciała mu ich pokazać. Wiedziała, że zmięknąć jej nie wolno, że innej drogi nie było. Dopiero gdy drzwi zamknęły się za nim, ukryła twarz w dłoniach, cała wstrząsana konwulsyjnem łkaniem. Uczyniła wszystko, co była powinna i nie potrzebowała nawet wspom-

nieć o wczorajszem spotkaniu z córką Jedniewicza.

A przecież zaważyło ono decydująco w jej postanowieniu. Z nieobrachowanym charakterem Ignasia można się było lękać wszystkiego, a były to rzeczy dla niej tak wstrętne i tak niepojęte, że nie potrafiłaby ich nawet wypowiedzieć. Na szczęście mogła tego uniknąć. Dostatecznym powodem wydalenia syna była jego bytność w Warszawie, tajemnica, jaką zachował. Jakże głęboko zapadła w otchłań niedoli!

Wzruszenie Ignasia w chwili rozstania się z matką minęło szybko, a zostało mu tylko uczucie doznanej krzywdy, zniewagi. Uraza jego zwróciła się przeciwko ideom, jakie matka wyznawała, przeciw jej otoczeniu, a szczególniej przeciw Berwiczowi, który wydał mu się sprawcą wszystkiego. Matka kochała go zanadto, by w ten sposób postąpić. Niezawodnie on ją podmówił, on to na niej wymógł. To też spotkawssy go na ganku, wybuchnął.

— Panu pewno zawdzięczam to, co mnie spotyka. Wiem, masz mnie pan stąd wywieść, jak winowajcę. Bądźcie spokojni, sam wyjadę. W tych waszych Malińcach można się udusić, lub zwarjować.

Berwicz spojrzał surowo na swego wychowańca. Cóż mógł mu odpowiedzieć? Jak się porozumieć? Słowa miały dla nich odmienne znaczenie. Parę lat rozdzieliło ich tak zupełnie, jak gdyby należeli do odmiennych społeczeństw i nie mogli porozumieć się na żadnym punkcie.

— No, kiedyż mam jechać? Matka powiedziała, że im prędzej, tem lepiej — mówił z wzrastającym gniewem.

Berwicz spojrzał na zegarek.

— Na kolej trzeba jechać koło dwunastej, teraz jest jedenasta, ale w Mińsku trzeba się będzie kilka dni zatrzymać dla wyrobienia paszportu.

— Mniejsza o to. Im prędzej, tem lepiej.

Berwicz był tego samego zdania.

— Konie czekają rozkazu — wyrzekł.

— To każ pan zajeżdżać.

Nad uczuciami Ignasia zapanowała wściekłość. Przebiegł dom gorączkowym krokiem, szukając kogoś, na kim mógłby ją wywrzeć. Błąkał się w nim jak obcy. Poszedł wreszcie do siebie i kazał pakować rzeczy.

Dawniej czynności tej asystowała matka i siostry; nie chciały tracić jednej chwili jego obecności, prześcigały się, pomagając mu, znosiły książki, drobiazgi, które mogły mu być potrzebne. Teraz był sam zupełnie.

Na kwadrans przed dwunastą służący przyszedł oznajmić, że podano śniadanie.

— No, to wielkie szczęście, że o tem pomyśleli — wyrzekł, wchodząc do jadalni, gdzie zastał Marynię — sądziłem, że wypędzą mnie z domu, jak głodnego psa.

Usiadł i udając, że nie patrzy na siostrę, jadł z apetytem młodości.

Marynia miała oczy czerwone. To go nie wzruszyło. Przeciwnie, wyrzekł ze złością.

— Będziecie znów same i szczęśliwe tutaj bezemnie. —

Wtedy wybuchnęła ona także.

— Wiesz dobrze, że tak nie będzie. Wiesz dobrze, iż zostawiasz za sobą nieszczęście.

Było tyle żalu w jej głosie, że zadrgała w nim jakaś miększa struna. Nie zdobył się jednak na serdeczne słowo. A ona zawołała, jakby czytała w jego duszy:

— Nie mów nic. Na cóż mamy rozstawać się ze złem słowem.

Powóz zaturkotał przed gankiem. W samą porę, bo oczywiście brat i siostra nie mieli sobie nic do powiedzenia.

— Pożegnaj Jadwisię — wyrzekł, wychodząc do sieni.

Jadwisia usłyszała go z bocznego pokoju, gdzie płakała po cichu.

— Nie chcę twego pożegnania! — zawołała przez drzwi. — Jesteś szkaradny!

— Daj pokój — przerwała Marynia łagodnie.

— Otoż nie! Mama płakała, tyś płakała. Darujcie mu jeśli chcecie, że się zadawał z moskalami, ja nie daruję.

Było to ostatnie słowo, jakie w domu usłyszał.

— A pan Berwicz? — zapytał, siadając do powozu.

— Pan Berwicz już pojechał.

— Więc jestem na wolnej stopie — mruknął — myślałem, że on będzie mnie konwojował.

Konie ruszyły, tylko Jadwisia wołała:

— Ja nie daruję, nie daruję nigdy!

Powóz skręcił w lipową aleję i jechał zwartym kłusem koło cerkwi i popowszczyzny w chwili,

gdy na drogę wychodziła Natalja. W czerwonej bluzce i takimże kapeluszu, wyglądała jak mak olbrzymi, odcinający się na tle zieleni.

— Dzień dobry, panie Ignacy! — zawołała z radością.

Ignaś się ukłonił. Konie bieg zwolniły.

— Żegnam panią, wyjeżdżam.

— Jaka szkoda! — wykrzyknęła z żalem.

Chciała pytać gdzie? na jak długo? Pobiegła ku powozowi, ale ten już był daleko. Została na drodze nie skonfundowana wcale, tylko zdziwiona, pytając samej siebie, gdzie on jechał.

Ignaś obejrzał się i zobaczył jej sylwetkę, tworzącą czerwoną plamę na tle zieleni. Dostrzegł wyraz zawodu na jej twarzy. I ukłonił się raz jeszcze, powiewając kapeluszem.

— Ona jedna mnie żałuje — pomyślał. — Szkoda, taka ładna i wesoła dziewczyna.

I była to ostatnia myśl jego, gdy wyjeżdżał z ojczystej wioski, zroszonej krwią męczeńską dziada, łzami matki i sióstr. Unosił z sobą wspomnienie tej dziewczyny, z którą dzieliło go wszystko, a łączyć mogły tylko najniższe instynkty.

VIII.

— Jaka niespodzianka. Ty tutaj! — zawołał Arczyński na dworcu kolejowym, widząc wchodzącego Ignasia, za którym posługacz niósł drobne pakunki.

Zdawał się uradowany spotkaniem, pytał o cel podróży i otaczał Ignasia troskliwością, której nie okazywał mu dotąd.

— Gdzież jedziesz tak niespodzianie? — nalegał. — Wszak nie było mowy o żadnych dalszych odwiedzinach parę dni temu, kiedyśmy byli z Rońskim w Malińcach?

I dodał pośpiesznie, nie otrzymując odpowiedzi.

— A panna Marja?

Zastanowiło Ignasia, że spamiętał to imię. Zrazu wahał się i namyślał, jaką dać odpowiedź, ale po chwili zdecydował się wyznać mu wszystko. Wszakże Witold był świadkiem, a nawet powodem zajścia, miał prawo wiedzieć o jego skutkach.

— Matka wysyła mnie za granicę — wyrzekł ze stłumionym gniewem. — Znajduje, że nie jestem godzien przebywać w Malińcach. Sądzę, że nie mówię ci nic nowego, po tem, czegoś sam był świadkiem.

Rozmowę przerwał im dzwonek kolejowy. Dopiero gdy znaleźli się razem w osobnym przedziale, nawiązał ją znowu Arczyński, któremu wypadło także jechać ku Ejtkunom.

— Więc rzeczy zaszły tak daleko? — spytał niezmiernie zainteresowany. — Nie zdołałeś matki przebłagać.

— Przecież nie jestem winowajcą.

— Hm! Musisz nim być, skoro matka i siostra tak utrzymują.

Ignaś spojrzał na niego z pod oka.

— Widzę — mruknął — że w Malińcach rzucono na ciebie urok.

— Urok byłby łatwy do wytłumaczenia, bo, przyznaję, pierwszy raz w życiu spotkałem taki dom. Ale czy ty nie rozumiesz rzeczywiście w jakiem postawiłeś się położeniu.

— Na Boga! nie nudź mnie już temi sprawami. Mam ich wprost po uszy.

Wydobył cygarnicę i podał ją towarzyszowi. Witold zapalił papierosa za jego przykładem i czas jakiś zdawał się nad czemś namyślać.

— Wiesz — zaczął wreszcie — jestem dużo od ciebie starszy, poszukawszy, znalazłoby się pomiędzy nami pokrewieństwo...

— No i cóż stąd?

— Chciałbym z tobą pomówić na serjo. Sprawy, które cię nudzą, są dla mnie pierwszorzędnej ważności i nie pojmuję, jak może być inaczej. Chodzi tu przecież o to, co jest dla każdego człowieka najdroższem na świecie.

— Tak mówią matka i siostry.

— I mają słuszność — odparł Witold z zapałem. — Zajście w waszym domu dało mi dużo do myślenia. Przez te dni kilka, rozpytywałem się, badałem, czytałem, zastanawiałem się i muszę ci powiedzieć, że dzisiaj podzielam w zupełności zdanie twojej matki.

— Ty?

— Tak, ja, i żałuję z głębi serca tego, co uczyniłem.

— Gra tu rolę Marynia, przyznaj...

Witold podniósł głowę z dumą sobie właściwą.

— Nie, to rzecz inna. Panna Marja zachwyciłaby mnie zawsze, choćby nawet nie miała słuszności. Ale ona ją ma, — jestem przekonany, że przed nami jest tylko jedna droga.

Jakto — zawołał Ignaś — nie wierzysz już, by możliwym był kompromis pomiędzy dwoma narodami, żyjącemi pod jednem berłem.

— Kompromis między wilkiem i jagnięciem, które trzyma w pazurach.

— Porównanie rozumowaniem nie jest.

— Określa ono położenie. Ale kiedy chcesz, będę mówił inaczej. Kompromis pomiędzy dwoma narodami powiadasz. Taki byłby możliwy. Ale gdzież ty tu widzisz dwa narody? Nas przecież za naród nie uważają. Pod tym względem łudzić się nie podobna. „Kraj przywiślański, kraj zachodni“, wynaleziono te nazwy, ażeby nie wspominać nawet polskiego imienia. Mamy do czynienia z nieprzyjacielem silnym, nie przebierającym w środkach, który wcale nie dąży do żadnego pojednania, ale chce nas wprost przedzierżgnąć w moskali, czyli pożreć, pochłonąć. Świadczą o tem szkółki, gimnazja, uniwersytety rosyjskie, świadczy zakaz używania języka polskiego, nawet w mowie potocznej, zalew urzędników rosyjskich, zajmujących wszystkie stanowiska, srogość cenzury, ucisk, przepełnione więzienia. Cóżto, czy knujemy spiski? Czy myślimy o powstaniu? o wyłamaniu się z pod panowania Rosji? Nie! Kogoż więc więżą i za co? Winowajcami są ci, co uczą się własnego języka, własnych dziejów. Abecadło! oto zbrodnicza księga, która Sybir zaludnia.

— Przecież cesarz obiecuje przywrócić w gimnazjach obowiązkową naukę polskiego języka.

— Tak, naukę polskiego języka po rosyjsku. I to już każą nam uważać za łaskę. A czy tego co obiecuje dotrzyma? Pomiędzy łaską cara, gdyby nawet nastąpiła, stoi zastęp czynowników. silniejszych od cara. Zresztą choćby nawet tak było, to nie jest własny język wykładowy, do którego każdy naród ma prawo. A bez tego czem może być nauczanie? Czem szkoły? Skoszlawieniem umysłów naszych dzieci, usiłowaniem wynaradowiania, męką. Przypomnij sobie swoje szkolne czasy. Ażeby mnie od niej uwolnić, wywieziono mnie dzieckiem do Szwajcarji, nauki kończyłem w Anglji i dzięki temu stałem się we własnym kraju obcym, a teraz sprzeniewierzyłem mu się na pierwszym wstępie, sam nie wiedząc co czynię i tego sobie nigdy nie daruję.

Ignaś spuścił głowę.

— Ale dla czegoż — wyrzekł po chwili — ludzie, którzy tutaj żyją ciągle, którzy się tutaj wychowali i zestarzeli, obeznani ze stosunkami, dali hasło zmiany postępowania i pierwsi rzucili podwaliny ugody.

Nazywacie to ugodą. Przyznam się, że tego wyrażenia wcale nie rozumiem. Ugoda z kim? Ugoda w czem? Chyba mamy się zgodzić i wyrzec tego, co mamy najdroższego? Ale mniejsza o słowa. Na pytanie twoje nie umiem odpowiedzieć i sam je sobie zadawałem. Ludzi tych nie znam, nie mam pojęcia, na jakiej zasadzie przywłaszczyli sobie mandat reprezentowania narodu.

— Widzisz, na czele ruchu stanął komitet Towarzystwa kredytowego ziemskiego, jedynej instytucji obieralnej w kraju.

— Ależ to instytucja czysto finansowa, a potem rekrutuje się tylko w klasie ziemian. Otóż gdyby chodziło o reprezentację narodu, nikt z pewnością nie powierzyłby jej tej jednej klasie. Wszakże specjalny dziennik, jaki założyli, odrzucony jest przez całą żywotną część kraju, gdyż znany jest ze swego serwilizmu, błędów, nikczemności, braku poczucia godności narodowej. O tem sam się przekonałem, bo z prawdziwem oburzeniem czytałem w nim artykuły o pobycie cara w Warszawie. Usiłowali w nich zatruć swoich odbiorców.

— Więc dlaczegoż oni to robią?

— Nie wiem. Nieznam tych ludzi.

— Nie mają w tem przecież żadnego interesu?

— Interes może być rozmaitego rodzaju. Przypuszczam, że pomiędzy nimi są ludzie dobrej i złej wiary, a najwięcej takich, którzy pragną odegrać jakąś rolę, bez żadnej ku temu kwalifikacji, nie narażając się na niebezpieczeństwo, a najwięcej takich, co ulegają obcej suggestji.

— Któżby ich suggestjonował?

— Doskonały jesteś Ignasiu. A któż suggestjonował mnie, ciebie, nas wszystkich, którzy nie wiedzieć po co i na co pojechaliśmy do Warszawy i wdali się w nieswoje rzeczy... O ile mogłem wyrozumieć, ten prąd przygotowany był od pewnego czasu. To pewno, że powiał on z Petersburga, że podżegaczem jego był osławiony redaktor „Kraju“, który odbywał podróże, miewał narady, spełniał jakoby jakąś misję, niewiadomo przez kogo mu zleconą, pracował niezmier-

nie nad przeprowadzeniem ich planów. I przeprowadził je na nieszczęście.

— Komuż na tem zależało?

— Komu? naszym nieprzyjaciołom. Widocznie chcieli przekonać młodego cara, jeśli rzeczywiście wiły mu się jakie marzenia sprawiedliwości, że gnębiony naród zrzekł się swoich najdroższych nadziei, jest najzupełniej zadowolony ze swego położenia, że przywykł do jarzma, że się w niem lubuje, skoro najwyższe jego warstwy prześcigają się w oznakach radości, a dzienniki nie znajdują dość słów na jej wyrażenie. Przyznaj sam, młody car miał prawo tak sądzić, bo wszakże ci wszyscy, którzy inaczej czuli, głosu wydać nie mogli. Łatwo jest fałszować uczucia narodu, przemawiać jakoby w jego imieniu, gdy przeciwnicy mają usta zakneblowane. Ale jakże straszną odpowiedzialność biorą na siebie ci, co samowolnie przyznają sobie tytuł jego rzeczników.

— Mnie mówiono, że chciano tym sposobem okazać młodemu władcy swe zaufanie.

— Dlaczego miano mu ufać? Byłby to dowód naszej lekkomyślności. Niczem przecież, ani słowem, ani czynem nie dał nam żadnych nadziei.

— Jakim ty stałeś się pesymistą — wtrącił Ignaś, którego teraz mało interesowały kwestje poruszone przez Witolda z tak szczerym zapałem.

— Powtarzam ci ciągle, staram się tylko być logicznym. Otóż car miał wszelkie prawo uważać uroczystości warszawskie za prosty dowód serwilizmu. Stawiam się na jego miejscu. Z tego punktu zapatrując się na rzeczy, ma on wszelką słuszność, gnębiąc coraz więcej, może sądzić, iż czyni w ten sposób zadość żądaniom osób interesowanych. Tembardziej, że wszystkie polskie prowincje składały wieńce na grobie jego ojca, największego z ciemiężycieli. Doprawdy, rozpatrując dzieje naszego męczeństwa, dochodzę do przekonania, że mamy krew płazów, bo dzieją się u nas rzeczy, które nawet gołębia doprowadziłyby do wściekłości. Daruj. Nie wiem, czy kompromis, o jakim mówiłeś, byłby kiedykolwiek możliwy, ale w każdym razie wrogowie pokazują, że o niego nie dbają, boć przecież nie my, ale oni mogą dobrą wolę pokazać. Z naszej strony każdy krok ku nim uczyniony, będzie znowu nikczemnością, upoważniającą do coraz większego ucisku. To jasne, to bije w oczy. Dlatego to, nietylko że nas ciemiężą, ale jeszcze nas policzkują. I to właśnie zawdzięczamy tak zwanym ugodowcom.

Mówił to z takiem przekonaniem, że pani Teresa, słysząc go, byłaby przyklasnęła z całego serca.

Ignaś był zachwiany. Jak zwykle ludzie, nie mający własnego sądu, nie powodował się tem co mówiono, ale tem, kto mówił. Nie działała na niego siła argumentacji Witolda, ale jego nazwisko, majątek, osoba. Matka, siostra nie wywarły na niego wpływu, on go wywarł.

— Ależ w takim razie — wyrzekł zakłopotany — ty uważasz...

— Uważam i powtarzam ci to ciągle, że według mnie to, cośmy uczynili, było nietylko podłością, ale jak mówił pewien mąż stanu, rzeczą gorszą, bo błędem. Podziwiam lekkomyślność tych ludzi, którzy się na nią ważyli.

— Było tak źle, iż sądzono, że trzeba koniecznie coś robić.

— Nie jest to wcale usprawiedliwieniem. Im gorsze położenie, tem konieczniejszą ostrożność w działaniu. Nie wolno nic czynić na ślepo. Tak łatwo jest przecież przyjąć postawę wyczekującą. Tę drogę wskazuje prosty rozsądek.

— Tak, to było najwłaściwsze — rzekł Ignaś. — Gdybyś mi to był wprzódy powiedział.

— Daliśmy się oszołomić. Niestety nie my jedni. Ale teraz, kiedyśmy przejrzeli, trzeba wycofać się jak najprędzej i wejść na odmienną drogę. Czy przynajmniej wytłumaczyłeś się przed matką? Najlepiej było zrobić to natychmiast.

Ignaś się zaczerwienił.

— Myślisz, że mi dano przyjść do słowa? Wręczono mi odrazu wyrok wygnania, wyrok bez apelacji.

— W każdym razie nie zbyt surowy. Wiem, żeś pragnął podróżować.

— No tak... Tylko ty nie znasz mojej matki... Nibyto sama słodycz, sama łagodność... a jednak...

I zafrasowany patrzał przed siebie bezmyślnie, tembardziej nierad z siebie, że Witold wykazał mu dowodnie niedarowaną lekkomyślność jego postępowania, którą matka miała zupełne prawo nazywać zbrodnią.

— Słyszałem zawsze — przerwał mu Witold — że u nas są kobiety, dla których miłość kraju jest religją, wyznawaną z fanatyzmem miłości.

Twoja matka jest jedną z takich. Wyczytałem to w jej oczach. Przy słodyczy jest tam nieugiętość stali.

— To też skazała mnie na wygnanie.

— Podróż nie jest wygnaniem. Będzie ona pewnie dla ciebie korzystna. Gdzie ci mam służyć listami.

— Mam zwiedzić Szwajcarję, Anglję.

— Jednakże przedewszystkiem powinienbyś pojednać się z matką. Napisz jej, że zmieniłeś przekonanie, żałujesz tego coś uczynił. Jestem pewny, że i jej i sobie zdjąłbyś kamień z serca.

Ignaś się zamyślił. Przyznawać się do winy nie lubił. (C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Epitaphium Ignacego Maciejowskiego Sewera.* Książka ta, wydana ku uczczeniu pamięci Sewera, została opracowaną w formie tak zwanych „jednodniówek“ i wartość jej może być tylko miarą tych jednodniówek mierzoną. Jako taka wyróżnia się bardzo starannem — nawet artystycznem wydaniem — i składem piszących autorów. Nazwiska spotykane — to wszystko ludzie z wybitnymi i uznanymi talentami, jak Wyspiański, obaj Tetmajerowie, Reymont, Żeromski, Adam Szymański i inni, lub znowu młode i obiecujące jednostki np. Miciński i Perzyński. Po za tem jednak trudno powiedzieć coś więcej, bo utwory zawarte w „Epitaphium“ to albo wyjątki — bardzo szczupłe — z niewydanych dramatów (Zuławski, Wyspiański, Włodz. Tetmajer), z których nie można sądzić o całości — a same w sobie prawie wymykające się z analizy; albo też utworki króciutkie — kilkowierszowe, z których również o autorach wnioskować nie można (Górski, Perzyński, Kaz. Tetmajer)... Oprócz tych, spotykamy jeszcze dwa artykuły o Sewerze — pióra Feldmana i prof. Zdziechowskiego, które pisane są z dużą dozą uczucia i dobrej woli — dlatego też może one jedne sprawiedliwie zajmują miejsce w „Epitaphium“, gdyż oddają hołd pamięci człowieka. W powyższych artykułach najznamienniejszym rysem jest traktowanie Sewera jako duszy całej i nierozdzielnej — nie zaś, jak się dzieje zwykle — jednostronnie ze strony już to czysto literackiej, już to społecznej...

Wogóle jestem przeciwny oddawaniu czci za pomocą wyjątków z niewydanych dzieł — bo uważam to za hołd bardzo tani i bardzo podejrzany. Jeżeli pewne grono z głębi uczucia pragnie przed światem o tem swojem uczuciu zaświadczyć, to wymagam aby wystawione świadectwo było wypływem głębokiego przemyślenia, wysiłku podjętego pod wpływem właśnie tego ducha, którego chcemy uczcić...

Inaczej — to nawet przy najlepszej woli — stwarza się, jak w tym razie, rzecz lekką — strawę myślową dla salonowych dam i dekorację do ich bawialni... I jeszcze jedno: z utworów — zawartych w „Epitaphium“ można wnioskować, że wszystkich tam piszących ludzi (z bardzo małymi zresztą wyjątkami) łączy jedność idei — jedność pragnienia i uczucia i tem większa szkoda, że nie rozleli swej myśli szeroko, nie rozwinęli jej w całej sile, lecz przeciwnie wcisnęli w banalną formę „jednodniówki“, zgnietli ją — tak, że ta myśl wygląda jak przytłoczony kamieniem kwiat i zeschły i woni pozbawiony... ledwie gdzieniegdzie jakiś listek pozostał jeszcze świeży i woniejący. Do takich oprócz wymienionych powyżej prac Zdziechowskiego i Feldmana należy wspaniała apoteoza Sewera pędzla Jacka Malczewskiego.

Br. Dobek.

*

Zabytki krakowskie w Szwecji. Aleksander Czołowski. (Kraków 1902, odbitka z V rocznika krakowskiego) Jest to rezultat poszukiwań archiwalnych w Sztokholmie, Upsali, w zamkach królewskich w Gripsholm i Drotningholm i w zamku hrabiów Brahe w Skokloster, dokonanych przez archiwarjusza miejskiego we Lwowie, dra Aleksandra Czołowskiego. Autorowi chodziło o opisanie i wyszukanie zabytków wywiezionych przez Karola XII., przy tej zaś sposobności zbadał wszystkie zabytki po muzeach szwedzkich, dotyczące Polski, bezpośrednio lub pośrednio. Do dzisiaj utrzymało się w Szwecji tylko około dwustu sztandarów, zabranych nam na polu bitew, cztery działa, dalej kilkadziesiąt sztuk broni siecznej, ręcznej, palnej i przyborów wojennych, pliki aktów polskich, około stu portretów, obrazów i rysunków, tyleż rękopisów, kilkanaście planów miast i twierdz, kilkaset książek z różnych bibljotek polskich i kilkanaście innych

przedmiotów. Dawniej było tego o wiele więcej, ale gdy po śmierci Karola XII, Szwecja znalazła się nad brzegiem ruiny finansowej przelano między innymi samych tylko dział 379 — trofeów wojennych — na metal, z którego wybijano talary, resztę sprzedawano na publicznych licytacjach. Krakowskie działa nabyli kupcy aż z Portugalji, dla portugalskich kolonij!

Przed zniszczeniem atoli i licytacjami, kazano na wieczną rzeczy pamiątkę sporządzić rysunki wszystkich ważniejszych dział i moździerzy, które to rysunki przechowane są dziś w Archiwum Muzeum Artylerji w Stokholmie. Z albumu tego, w którym znajdują się rysunki 272 polskich dział i moździerzy, podaje dr. Czołowski reprodukcje 28 moździerzy i dział zabranych z Krakowa w r. 1702. Każdą sztukę opisał autor z osobna a nadto podaje w swej książce reprodukcję i opis planu Krakowa, zrobionego przez inżynierów szwedzkich w r. 1702. Plan ten wykonany nadzwyczaj starannie kolorami i piórem dla topografji starego Krakowa posiada pierwszorzędne znaczenie.

Fr. Jaw.

*

Rocznik żydowski. Nakładem stowarzyszenia dla wydawnictw żydowskich, Lwów 1902 (5662/3). Tomik interesujący tak pod względem wewnętrznej, jak i zewnętrznej swej zawartości. Zdobią go liczne winiety i ilustracje, na które złożyli się dwaj młodzi malarze E. M. Lilien i W. Wachtel; zwłaszcza tego ostatniego doskonale reprodukowane „Cudowne dziecko“ zwraca na siebie uwagę. Wśród części literackiej, na którą składają się poezje oryginalne i tłumaczone (dość słabe tłumaczenie „Żydówki“ Donatha), utwory belletrystyczne, (bardzo słaby dramat „sjonistyczny“ p. t. Dr. Mojżesz Blum) i fachowe artykuły „sprawie“ poświęcone (Bubera, Nossiga, Sokołowa, Bielkowskiego i innych). Wyróżnia się zarówno treścią jak i piękną formą artykuł pod tytułem Moderna żydowska, pióra redaktora tego rocznika, pana Adolfa Standa, zdolnego essayisty, autora drukowanych w swoim czasie w „Życiu“ ciętych aforyzmów społecznych. Zajmujące są również artykuły o sztuce żydowskiej Dra M. Ehrepreisa, zwłaszcza tego ostatniego „list otwarty“ do malarza E. M. Liliena, którego sztuka rzeczywiście zewnętrznie tylko jest żydowską, będąc w gruncie rzeczy wprawdzie prawdziwego smaku artystycznego pełną i wykwintną, ale indywidualności pozbawioną kompilacją różnych, kosmopolitycznych przeważnie angielskich, reminiscencji. *A. C.*

NOTATKI. *Ruskie motywa ludowe.* Z wyjątkiem nielicznych etnografów i zbieraczy mało kto ma u nas pojęcie o nieprzebranem bogactwie motywów i wzorów, których używa lud ruski, w coraz bardziej zanikających strojach swoich. Gdy się oglądnie naprzykład kolekcję zebraną długoletnią i pilną pracą p. Władysława Zontaka, kustosza muzeum im. Dzieduszyckich, to doprawdy wyjść z podziwu nie można, takie tam bogactwo szczegółów ornamentacyjnych, taka robota czysta i piękna. Odznaczają się one, te ruskie hafty przedewszystkiem pięknością deseni i doborem barw, świadczącym o wysokiem poczuciu artystycznem ruskiego ludu. Przystosowane do przedmiotów służących do użytku ludzi po miastach, sukien i bielizny pań naszych, wzory te niczem nie ustępowałyby zakopiańskim, a o całe niebo przewyższyłyby t. z. wiedeńską secesję, będącą w gruncie rzeczy niczem innem, jak niemiecką tandetą.

Otóż cel przystosowania wzorów ruskich do przedmiotów nowożytnego użytku świeci pannie Matyldzie Zontak, która z rzadką u pań naszych zabiegliwością i pilnością pracuje od dawna w tym kierunku i gdyby tak naszej publiczności poparcie, dojść by mogła w tym względzie do imponujących rezultatów. Chodzi z jednej strony o poparcie przemysłu domowego kobiet ruskich, którby znacznie się mógł przyczynić do podniesienia dobrobytu biednej ludności ruskiej, a z drugiej strony o zatrudnienie setek robotnic w mieście. Publiczność by na tem zyskała, gdyż do strojów niewieścich przybyło by mnóstwo motywów oryginalnych, a gdy się zważy jakie to sumy ogromne idą zagranicę na koronki i hafty, to i dla całego przemysłu krajowego rzecz to wcale nie jest obojętna.

Panna Zontak udziela wszelkich szczegółowych informacyj, cały swój czas i troskę poświęciła tej rzeczy, więc możeby panie nasze zechciały się bliżej poinformować, a możnaby zorganizować osobną a nową gałąź sztuki stosowanej.

Fr. Jaw.



Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8